



ŚWIĘTY POWTÓRZENIA

Elias Canetti jest dumny z życia,
które przebija się przez śmierć, przez niemożność,
przez najgorsze zagrożenia.

MAREK BIEŃCZYK

WŁAŚCIWIE MOGLĄBY TO BYĆ IDEALNA książka na wakacje; czternaście krótkich tekstów, po jednym dziennie, w sam raz na cały turnus. Pięknie wydana w kolorach lata i pięknie przetłumaczona przez Marię Przybyłowską, no i odpowiednio pod różnicza: skoro dziś lipiec, to jesteśmy (na przykład) w Marrakeszu. Kilka jej fragmentów albo nawiązań do wizyty w Maroku znamy z wcześniej wydanych u nas pism Eliasa Canettiego. Teraz głosy brzmią razem w jednym, niewielkim tomie.

Gesty klęski

Razem brzmią mocno i poruszająco. To Canetti – owszem – noblista, ale niejako z własnych marginesów, nie autor wielkiej powieści „Auto da fé”, nie autor „Masy i władzy”, jednej z najważniejszych rozpraw XX wieku, nie autor epickich tomów autobiograficznych, a ledwie paru zapisków z egzotycznego wypadu.

Lecz zarazem to Canetti fundamentalny, najbardziej może przejmujący i najbliższy zmysłowym źródłom swojego pisania. Każda z tych krótkich opowieści, każda wizja lokalna w zaułkach Marrakeszu, wpada w nas jak kamień; trzeba dłuższej chwili, by po lekturze dojść do siebie, przetrwać twarde słowa.

Co leży u początku, co, pytając wprost, sprawia, że Canetti pisze? Jest przede wszystkim pisarzem upartym, krążącym wokół kilku obrazów. Ujmującym po wielokroć i na różne sposoby jedno: gesty klęski, gesty słabości, gesty kruchego, naruszonego życia; gesty nędzy, przetrwania, walki o ciąg dalszy, gesty znojnego przenoszenia istnienia z jednego dnia na kolejny.

Jak wcześniej to zobaczył, kiedy wtargnął w niego obraz ciała kalekiego, omdlałego, wydanego na zniszczenie? Czy wtedy w Wiedniu, owego pamiętnego dnia, 15 lipca 1927 r., o którym tyle razy wspomina? Wówczas, kiedy to podczas manifestacji w obronie zmasakrowanych robotników Burgenlandu ujrzał tyłu ludzi leżących na ziemi i tratowanych? To był, sam przyznaje, widok założycielski dla jego myślenia o świecie i dla opisywania świata. Od tamtego dnia minęło wiele czasu, do Marrakeszu przyjeżdża Canetti w roku 1954 i tu, wśród marokańskich ślepców i żebraków, odnawia swój pakt z pokonanymi i z leżącymi.

Ślepcy i żebracy to są jego bohaterowie. Ci, którzy swym ciałem wypadli z ludzkiej średniej, przytulili się do ścian, do ziemi, do skrawków chodnika. I sami nieraz stali się skrawkami, jak ów człowiek-kadłub, „brązowy tobołek” bez rąk i nóg – do tego widoku Canetti powraca obsesyjnie – pojawiający się dzień w dzień na śródmiejskim placu, i wydający z siebie jeden nieustanny i nieforemny jęk, który nie układa się w żadne słowo. „Jednak – pisze Canetti i to są ostatnie słowa tego tomu – żył i z nadzwyczajną pilnością i wytrwałością powtarzał swój jedyny dźwięk, powtarzał godzinami, dopóki na wielkim i rozległym placu nie pozostał tylko ten jeden dźwięk, który potrafił przeżyć wszystkie inne”.

Ostateczne czynności

Canettiego porusza i mobilizuje niewstrzymany stukot serca, tłok, który pracuje niezmordowanie w każdej okoliczności. Niepojęta dla niego i zarazem unosząca go, wypełniająca go wzniosłym zdziwieniem

mrówcza pilność życia, ujawniająca się najmocniej tam, gdzie jest ono najbardziej zagrożone, albo najbardziej, wydawałoby się, nieistotne. Uwagę pisarza zwraca – nie, to źle powiedziane; jego wyobraźnią wstrząsa chwytanie się przez ponizonych i wykluczonych gestów życia.

Uderza go rozpaczliwa, lecz nieprzeparata praca ciała słabego lub kalekiego – namiastki czynności, wysiłek mięśni, rozpaczliwe ruchy kończyn – zastępcza wobec działań „normalnych”, prowadzonych przez ludzi widzących i sytych. Ten ślepy żebrak żując rzuconą mu monetę, aby móc określić jej wartość. Ta szalona kobieta z twarzą wbitą w kratę okna i powtarzająca przez cały dzień tę samą litanię kilku sylab. Ci nędzarze usiłujący cokolwiek sprzedać, czy raczej naśladowujący sprzedawanie, czepiający się gestu sprzedawania.

Żebraków Canetti nazywa „świętymi powtórcami”; powtórzenie tego samego dźwięku, jednego, identycznego gestu jest dla Canettiego sednem istnienia, porażającym i nieodzownym zarazem. Żebracy w radykalny sposób unaoczniają to, jak żyje cała ludność Marrakeszu, i za nią, dalej, cała zapewne ludzkość: „Jak dużo lub jak niewiele urozmaicenia miały w sobie czynności rzemieślników, których widziałem pracujących w swoich budkach? A targowanie się kupców? A kroki tancerzy? A niezliczone filiżanki miętowej herbaty, którą piją tu wszyscy goście? Ile urozmaicenia jest w pieniądzach? A ile jest w głodzie?”. I ile jest go w tylu innych codziennych czynnościach, które Canetti opisuje jak nabożny, przejęty fenomenolog? Choćby w wystawianiu nędznego towaru na chodniku czy w rytuale →



LIU DAWEI / XINHUA PRESS / CORBIS

Marrakesz. 2013 r.

→ targowania się, czy w wybieraniu chleba na targu – ach, to opisane w każdym szczególnie obmacywanie bochenka, podrzucanie go w górę, by sprawdzić jego wagę, jakby chodziło o najważniejszy wybór, decydujący o całej przyszłości.

Pod osłoną nieba

Canetti przyjeżdża do Marrakeszu w 1954 r. Towarzyszy ekipie filmowej kręcącej tu dokument. Jest to ostatnia chwila przed nastaniem *homo turisticus*; przyjezdny jest oczywiście możliwym źródłem datków, dawcą monet, ale nie należy jeszcze do turystycznej masy, którą na pozór się szanuje, a w duchu się nią gardzi. Może wnikać w podszewkę miasta, przedostawać się na drugą stronę, w obce rewiry jako ktoś z zewnątrz, a nie jako zakontraktowany wizytator inności.

Marrakesz tamtych lat należy do dwóch współistniejących wspólnot, arabskiej i żydowskiej, połączonych jednym doświadczeniem biedy. W czasie swego pobytu Canetti parokrotnie podchodzi do granicy oddzielającej Europejczyka od tamtej Afryki, balansuje na niej. Jest dość ostrożny, by nie dokonać jej fizycznego przekroczenia, lecz w nim samym otwiera się otchłań nierozpoznanej w pełni egzystencji, której może tu teraz w fascynacji i w przerażeniu zarazem doświadczać.

Przypomina się przy lekturze tej książki znany film Bertolluciego „Pod osłoną nie-

Nazywam Canettiego sprinterem hermeneutą; ogromnie w nim to lubię, tę skłonność do skracania dystansu, wyciskania z konkrety, ze szczegółu, esencji istnienia, jakim Canetti je widzi.

ba”, na podstawie powieści Paula Bowlesa. Tanger, lata 40. On (John Malkovich) zapuszcza się w obce miasto w ramach onirycznego tripu, cudem udaje mu się z niego wymknąć i wrócić; ona (Debra Winger) później całkowicie przeniknie tam, na stronę Afryki, odda się szaleństwu transgresji. Canetti na własnym ciele próbuje odegrać głosy Marrakeszu, usiąść w żebraczej pozie i godzinami powtarzać modlitewne zaklęcia; niewiele brakuje, by aż po zatrąę uległ hipnozie miejsca. Jeden z najświetniejszych fragmentów książki opowiada o wkroczeniu Canettiego w świat żydowskiego plebsu Marrakeszu i o zwiedzaniu żydowskie-

go cmentarza, na którym osaczają go żebracy. „Nigdy jeszcze ludzie nie zbliżyli się do mnie tak bardzo fizycznie”.

Dumny z tobołka

Canetti, to wiadomo, jest nadzwyczaj uważnym i empatycznym obserwatorem, lecz jego empatia nie jest ani oplakująca, ani histeryczna. Tak, czuje ból innych, ludzi i zwierząt; jego zapiski o cierpieniu wielbłądów idących pod rzeźniczy nóż chwytają za gardło. Rozdaje monety na lewo i prawo, ale bez terroru sumienia, które nie daje już spokoju. Może wie, że nie można być filantropem i pisarzem jednocześnie.

Zastanawia, dlaczego swoje zapiski wydał dopiero 15 lat po podróży. Uważał je za nieistotne, zbyt blade wobec jego „wielkich” książek, za mało literackie? Ich literackość jest szczególna. Świetność pióra bije w oczy, precyzja zdań wypowiadających tak wiele w tak niewielu słowach nieraz zachwyca. Także umiejętność błyskawicznego przenoszenia się z konkrety jednej sceny czy sytuacji w porządek uniwersalny, tam, gdzie mówi się najogólniej: „życie”, „człowiek”. Nazywam Canettiego sprinterem hermeneutą; ogromnie w nim to lubię, tę skłonność do skracania dystansu, natychmiastowego wyciskania z konkrety, ze szczegółu, esencji istnienia, jakim Canetti je widzi.

Ta poetyka skrótów, nagłych metaforycznych uogólnień, nie pcha jednak Canettiego w jakieś językowe piękności, w eseistyczne ornamenty. Canetti nie walczy o puenty, o świetne zakończenia, jakich taka forma krótkich opowieści by wymagała. Rezygnuje z literackiej obróbki, by wypowiedzieć wprost swoje uczucia, najczęściej miłości i dumy. Nie litości, nie żalu, lecz dumy: „Byłem dumny z tobołka, że żyje”.

Tak, Canetti jest dumny z życia, które przebija się przez śmierć, przez niemożność, przez najgorsze zagrożenia. Nawet ten najędźniejszy osioł w mieście, stojący wciąż w jednym miejscu, nie wiedzieć jak trwające jeszcze w życiu „mniej niż nic”. Nagle, któregoś dnia, Canetti spostrzega, że osioł dostaje erekcji. Niczego się już po nim nie można było spodziewać, a tu prosię. Ten widok nawiedza pisarza, nie daje mu spokoju. I to właśnie: jest z osła dumny. Bo nawet w najgorszej nędzy wyzwolić się może żądza i tęsknota za rozkoszą, życie upomina się o swoje.

W tej scenie zawiera się dla mnie cały Canetti. Kupa śmiechu z tym osłem, a dla niego nie, to czysty cud życia. ▣

MAREK BIEŃCZYK

ELIAS CANETTI, GŁOSY MARRAKESZU. ZAPISKI PO PODRÓŻY, przeł. Maria Przybyłowska, słowo / obraz terytoria, Gdańsk 2014.